Rok XV. We Lwowie, dnia 4. stycznia 1907. Nr. 1.

Gazeta Kościelna

Przedpłata: roczna . 11 Kor
półroczna . 6 „
kwartalna . 3 „
Rękopisów, przyjętych do druku, Redakcya nie zwraca.

PISMO POŚWIECONE SPRAWOM KOŚCIELNYM I SPOŁECZNYM.
ORGAN TOWARZYSTWA WZAJEMNEJ POMOCY KAPŁANÓW.
Wychodzi każdego piątku.

Redakcya, Administracya i Ekspedycya: Ks. Dr. A. Pechnik, Syksluska 64.
Inseraty przyjmuje się za opłatą 20 hal. od wiersza petitu.
Reklamacye otwarte wolne są od opłaty pocztowej.

OD REDAKCYI.

Wezwany przez Wydział Towarzystwa wzajemnej pomocy Kapłanów do objęcia redakcyi „Gazety Kościelnej“, wziąłem na siebie brzemię tego obowiązku, licząc nie na własne słabe siły, ale na pomoc Bożą i na życzliwe poparcie tych, którzy dotychczas, jako dzielni redaktorzy i współpracownicy, umożliwiali Gazecie spełnienie jej zadania. Musi ona dotąd walczyć z wielkiemi trudnościami: mamy już za wiele pism, przeznaczonych dla duchowieństwa, a jeszcze za mało księży, uważających istnienie tych pism za potrzebne i chętnych do popierania ich moralnego i materyalnego. Nieraz więc i „Gazeta Kościelna“ znalazła się w tem położeniu, że dla braku dobrych współpracowników nie mogła wywiązać się należycie ze swego zadania, a za to nie brakowało nigdy krytyków, którzy najlepszym jej artykułom odmawiali wartości. Nie jestem bynajmniej nieprzyjacielem krytyki, owszem zalecam ją gorąco poniżej i proszę o nią nadal dla Gazety, tylko nie o taką, która nie udowadnia niczem swojej kompetencyi, która uchylając się sama od pracy literackiej, umie tylko wydawać sądy ujemne i lekceważące o pracy drugich, która nie zdaje sobie sprawy ze swoich probierzy i celów, która umie tylko zniechęcać do czytania autorów, nie cieszących się jeszcze sławą, powszechnie uznaną i żadnego nikomu nie przynosi pożytku. Rzeczą krytyki jest: odróżniać prawdę od błędu, oceniać bezstronnie zalety i wady każdego dzieła, wskazywać drogę pisarzom i twórcom i tym sposobem przyczyniać się do postępu piśmiennictwa, nauki i sztuki. Za taką krytykę będzie bardzo wdzięczna i redakcya „Gazety Kościelnej“, chociażby ta krytyka nie oszczędzała jej miłości własnej i dowodziła, że czytelnicy całkiem słusznie nie są zadowoleni z jej pracy.

Nie mogę obiecywać, że potrafię postawić „Gazetę Kościelną“ na poziomie wyższym od tego, na którym stanęła dzisiaj. Pragnę jednak gorąco, żeby treść jej stawała się coraz bogatszą i coraz wszechstronniej czyniła zadość potrzebom i słusznym żądaniom Czcigodnych Konfratrów, których bardzo proszę, żeby zechcieli mi wyjawiać swoje życzenia. Zamierzam uwzględniać ile możności wszystkie dziedziny umysłowe, z któremi każdy kapłan powinien zapoznać się do pewnego przynajmniej stopnia, a więc w pierwszym rzędzie teologię, apologetykę i filozofię, dalej socyologię, katechetykę, literaturę piękną i zagadnienia polityki współczesnej, o ile i nas ona musi zajmować z powodu, że dotyka interesów Kościoła. Nadto chciałbym od czasu do czasu zamieszczać utwory homiletyczne, któreby poddawały dobre myśli i zwroty kaznodziejskie czytelnikom, zmuszonym do częstego prawienia kazań a nie mogącym zasilać swojej wiedzy ze źródeł dosyć obfitych; najbliższe numery zawierać będą siedem nauk pasyjnych. Wiem, że co do tego punktu zdania są różne: jedni pragnęliby, żeby Gazeta stała się dla nich kopalnią, z którejby każdego tygodnia mogli zaczerpnąć materyał do swoich nauk; drudzy sądzą przeciwnie, że drukowanie kazań popiera tylko lenistwo mniej gorliwych pracowników w winnicy Pańskiej. Pierwszym odpowiadam, że życzeniu ich stoi na zawadzie i brak miejsca w Gazecie i trudność uzyskania wzorowych płodów homiletycznych;

Bibl. Jagell. 2022 CD

drugim, że większa część naszych kaznodziejów nie ma dość czasu albo dość wprawy na to, żeby mogli samodzielnie obmyśleć i opracować osnowę każdej swojej nauki; a zresztą czytanie dobrych kazań nie zachęca do lenistwa, ale raczej uczy wymowy kościelnej, poddaje nowe myśli, budzi ochotę i zapał do pracy pasterskiej.

W tem więc przeświadczeniu, że „Gazeta Kościelna" ważne ma do spełnienia zadanie, że może i powinna stać się organem całego duchowieństwa polskiego, upraszam usilnie o jej poparcie, o nadsyłanie artykułów — nie powtarzających rzeczy oklepanych, ale poruszających sprawy żywotne, zawierających wiadomości o powodzeniach lub niepowodzeniach w pracy kapłańskiej, o wypadkach uwagi godnych w tej lub owej miejscowości i dyecezyi itp. Natomiast sądzę że tylko wyjątkowo może być w „Gaz. Kość." pożądaną polemika z przeciwnikami Kościoła, bo na tych pismo nasze nie potrafi wywrzeć żadnego wpływu.

W końcu zawiadamiam Szan. Prenumeratorów, że żadnych intencyi mszalnych przesyłać im nie mogę. Proszę o rychłe nadsyłanie prenumeraty, a tych, którzy jeszcze coś winni, o wyrównanie zaległości z roku przeszłego. Nie chciałbym upominać się u każdego z czcigodnych Braci osobnymi listami, bo to rzecz niemiła i dla dłużnika i dla samego Redaktora. Obyśmy raz już nauczyli się wszyscy oddawać każdemu w swoim czasie, co się komu należy! Wiem, że duchowieństwo nie opływa dziś w dostatki i że wielu zbliża się już do stanu ubóstwa apostolskiego, ale myślę, że trzy korony na kwartał ofiarować może bez wielkiej trudności nawet najuboższy wikary dla poparcia pisma, broniącego sprawy Kościoła a zarazem i interesów kleru!

Nowy Biskup-Sufragan.

W niedzielę 30 go grudnia z. r. odbyła się w mieście naszem konsekracya Najprz. Ks. Biskupa Dra Władysława Bandurskiego. Dyecezya lwowska powitała Go z radością, znając oddawna Jego wielkie cnoty i zasługi, wiedząc, jak wzniośle pojmuje swoje obowiązki, wiedząc, że okazał się na stanowisku, jakie zajmował w Krakowie, gorącym miłośnikiem Kościoła i ojczyzny, troskliwym opiekunem młodzieży szkolnej i rękodzielniczej i stowarzyszeń katolickich i że umiał pozyskać sobie serca wszystkich ludzi dobrej woli. Składamy Mu hołd powinny i serdeczne życzenia, żeby Mu Pan Bóg błogosławił na tem nowem i pełnem ciężkiej odpowiedzialności stanowisku, żeby Mu pozwolił stać się najsilniejszą podporą J. E. Najprzew. Księdza Arcybiskupa w rządach dyecezyi, żeby Mu pozwolił jako Rektorowi seminaryum duchownego wychować setki kapłanów, przejętych świętym ogniem miłości Chrystusowej, który w jego płonie sercu i pobudza Go do niestrudzonej pracy w winnicy Pańskiej!

Dodajemy kilka dat z życia nowego Biskupa, zaczerpniętych z »Czasu«.

Urodził się w Sokalu 25. maja 1863 r., jako syn Wincentego i Zofii z Haraszkiewiczów, mieszczan średnio zamożnych. W Sokalu ukończył szkołę wydziałową, a potem wysłany do Lwowa, skończył z bardzo dobrym postępem gimnazyum Franciszka Józefa. Maturę zdaw r. 1883. W tym roku wstąpił do seminaryum duchownego we Lwowie. Po świetnie złożonych egzaminach na wydziale teologicznym uniwersytetu lwowskiego, wyświęcony w r. 1887 na kapłana przez X. arcyb. Morawskiego. Potem wysłany został do Rzymu na wyższe studya. W kolegium polskiem przebywając w Rzymie, uczęszczał na wykłady filozofii i teologii na uniwersytet Gregoryański papieski, a r. 1889 zdał doktorat filozofii.

Odwołany do kraju, od r. 1890 pracował nader gorliwie jako wikaryusz w Kamionce Strumiłowej do r. 1892. Przeznaczony następnie na wikaryusza do kolegiaty w Stanisławowie, był katechetą w szkole Mickiewicza, na Lipowej, św. Zofii, w dwóch szkołach przemysłowych i w pensyonacie p. Dąbrowskiej. I tu podbił serca Stanisławowian swemi gorącemi kazaniami i przemowami patryotycznemi, a zwłaszcza rekolekcyami, które sam dawał w kolegiacie wraz z innymi kapłanami świeckimi, rzucając pierwszy myśl, by do takiej pracy zabrali się i kapłani świeccy, którym Opatrzność nie poskąpiła swych darów. Pierwszy jeździł po wsiach, należących do parafii stanisławowskiej, do szkół, by dziatwie polskiej nieść katechizm polski. W czasie cholery, która grasowała w Stanisławowie przez kilka miesięcy, z poświęceniem niósł pociechę chorym i umierającym.

W roku 1893 mianowany wikaryuszem przy kościele katedralnym we Lwowie i katechetą szkoły (mieszanej) św. Zofii przy placu wystawowym; potem został katechetą w pensyonacie p. Niedziałkowskiej. W charakterze kaznodziei i kapelana odbył wizytacyę kanoniczną parafii dekanatów lwowskiej dyecezyi przy boku ówczesnego Sufragana X. Biskupa Puzyny. A gdy w r. 1895 został X. Puzyna mianowany Biskupem krakowskim, zabrał z sobą X. Bandurskiego jako sekretarza i kapelana swego do Krakowa. Tu w nowo założonem seminaryum małem mianowany został kierownikiem duchownym. W r. 1896 mianowany kanclerzem, r. 1899 kanonikiem kapituły krakowskiej, r. 1902 ozdobiony papieskim orderem *Bene merenti*, oraz orderem papieskim *pro Ecclesia et Pontifice*. Dnia 5. maja 1903 mianowany prałatem domowym Leona XIII; d. 10. października 1906 zamianowany *per breve* Biskupem *in part. infid.* Cydońskim na Krecie i Sufraganem lwowskim. Nominacya ta została ogłoszona na konsystorzu przez Piusa X 6. grudnia 1906 roku.

Jakiej nam potrzeba krytyki?

Do wyrazu: »krytyka« przylgnęło już od wieków znaczenie ujemne. Artyści, poeci, literaci wszelkiego rodzaju mówią z przekąsem i z niechęcią o krytykach jako o Zoilach, którzy wszędzie, w najlepszych nawet dziełach lubią wyszukiwać niedostatki i błędy. Często też słyszy się zdania, że krytyka jest rzeczą łatwą a niepożyteczną, bo nic sama nie potrafi stworzyć, że recenzenci powinni autorów chwalić i zachęcać do dalszej pracy, zamiast wytykać słabe ich strony i pomyłki. A zwłaszcza pisarze duchowni, wydawcy kazań i pism dla ludu w ten sposób pojmują najczęściej zadanie recenzenta.

Jakież jednak skutki sprowadza to zapatrywanie w praktyce? Oto najpierw czytelnicy tracą zupełnie zaufanie do recenzentów, skoro się przekonają kilka razy,

że ich wywiedli w pole, że ich skusili do nabycia książki do niczego im nie przydatnej, autorowie zaś przestają się kształcić, pracować nad sobą, dążyć do doskonałości, skoro ich liche utwory doznają nie zasłużonej pochwały. Największa część np. płodów homiletycznych, które wydano w ostatnich lat dziesiątkach u nas i w Niemczech, powinna się była spotkać z krytyką bardzo surową, bo im brakuje wszystkiego, czego mamy prawo domagać się od dobrego kazania; przyznają to ogólnie księża, którzy nie ignorują nowszych na tem polu wydawnictw. A tymczasem prawie wszystkie oceniono w czasopismach jak najprzychylniej, nie wytykając im żadnych wad i niedostatków. Czyż to może przyczynić się do podniesienia poziomu naszego kaznodziejstwa? Wszakże ogólne są i całkiem słuszne skargi na to, że bardzo często słyszy się kazania, egzorty, nauki katechetyczne, które zniechęcają do słuchania Słowa Bożego. Jedni wychodzą bez przygotowania na ambonę i zabawiają swoich słuchaczy gadaniną tego np. rodzaju: »Wyszedł sobie ten niecnota Dawid — chociaż go zowią wielkim pokutnikiem, ale wtenczas on takim nie był — na dach swego pałacu, zamiast pilnować swych psalmów a wtedy przyszła na niego pokusa itd.« albo: »któżby wierzył, gdyby mu opowiadano, że gdzieś są ludzie, którzy mają głowę między nogami«? Albo tak odpowiadają uczniom na zarzut, że Bóg żąda od nas »ślepej wiary«: »W jednej szkole początkowej wypisał nauczyciel na tablicy literę A, mówiąc: to jest A. Wtenczas jeden z uczniów przemądrych wstał i powiedział: Proszę mi udowodnić, że to jest A! Cóż na to nauczyciel? Oto wyciągnął z pod katedry rózgę! Tak mówi i P. Jezus: Kto nie uwierzy, będzie potępion«! Tak się czasem argumentuje w naukach rekolekcyjnych, których słuchają gimnazyaliści, szukający odpowiedzi rozumnej na swoje wątpliwości w rzeczach wiary.

Inni kaznodzieje pojmują lepiej swój obowiązek i przysposabiają się do swych nauk sumiennie, ale są jeszcze młodzi, nie umieją jeszcze wysławiać się logicznie, używają niewłaściwych albo nawet śmiesznych przenośni itd. Mówią np., że jak św. Bartłomiejowi zdarto skórę, tak i my »powinniśmy się pozbyć skóry łamania zgody, skóry nieczystości i wszelkiej niesprawiedliwości«! Inni popełniają ciągle błędy, przed którymi przestrzega każdy podręcznik homiletyki[1]), używają wyrażeń oderwanych, dla ludu niezrozumiałych itd. a niema nikogo, któryby zwrócił ich uwagę na te błędy i podał im do ręki jakieś kazania wzorowe; czasopisma zaś duchowne radzą im korzystać z nauk drukowanych, w których są takie np. ustępy: »Wtenczas to będziecie się czuli prawdziwie szczęśliwymi — szczęśliwymi, jak pewien sławny Anglik, Józef Brotherton, który uczciwością, pilnością, punktualnością i zaparciem się samego siebie, został z prostego pomocnika fabrycznego posłem do parlamentu i na pomniku, jaki mu wystawiono w mieście Manchester, kazał umieścić te słowa: Moje bogactwo nie leżało w wielkości mienia, ale w małości moich potrzeb. Amen«. Przed tego rodzaju zakończeniami, do których nie stosuje się się wcale słówko: »Amen«, należałoby właśnie kaznodziejów przestrzegać. »Finis coronat opus«; zakończenie powinno zawierać myśli najlepsze i najwięcej przemawiać do duszy słuchacza. »Małość moich potrzeb« to frazes niezręczny, nie polski i całkiem niepodobny do słów Chrystusowych.

Gdzie indziej znów czytamy takie kwiatki stylistyczne: »Ucz się rosą modlitwy użyźniania ziarn pięknych swych myśli i chęci, strzegąc najczujniej ich anielskiej czystości! Tak postępując, zakwitniesz uroczą barwą na wielkiej niwie twej społeczności«.

[1]) Jednym z najlepszych jest niewątpliwie mało u nas czytana książka Schleiniger'a „Das Kirchliche Predigtamt" (3-te Aufl. Freiburg i. B. 1881. Stron 630).

Albo weźmy inne wydawnictwo, z którego czerpie niejeden zapewne z naszych kaznodziejów. Tytuł jego: „Nauka wiary i obyczajów w przykładach, zebrana z różnych autorów" przez X. Kazimierza Riedla T. J. (Kraków 1888 — 1892. Cztery tomy). Zbiór dobrych przykładów oddałby każdemu z nas przysługę ogromną. Niestety jednak z większej części tych opowiadań nie możemy korzystać z powodu, że nie podają niewątpliwych faktów historycznych, a nadto treść ich jest albo zbyt trywialną i nie licującą z powagą ambony albo niepodobną do prawdy, albo też z logiką nie da się pogodzić, jak np. argument następujący (tom 1. str. 108): „Tego mi dowiedź, rzekł Ferrakutus, jakim sposobem Bóg jest jeden i troisty? Dowiodę ci tego, rzekł Roland, w stworzeniach. W słońcu trzy są rzeczy: jasność, blask i ciepło, a jednak słońce jedno jest, tak i w Bogu jest jedność i Trójca. Teraz, zakończył Ferrakutus, rozumiem (?!), że jest Bóg troisty i jedyny". Takie „dowody" nie przekonają nikogo, lecz wywołują tylko szyderstwa niedowiarków. Jasność i światło są tylko zjawiskami, które wywołuje ta sama siła: niema więc tu żadnej analogii nawet, żadnego podobieństwa do stosunku, zachodzącego między trzema Osobami Trójcy św. Nie lepszy jest argument »roztropnego dziecka« (ib. str. 109): »Tak jest, mój drogi ojcze, jesteś starszy odemnie jako człowiek, ale jako ojciec nie jesteś starszy odemnie, boś wtenczas został moim ojcem, kiedy ja zostałem twoim synem! Ponieważ więc Ojciec niebieski od wieków był Ojcem — musiał też od wieków mieć Syna". Wszakże z tego, że ojciec nie był jeszcze ojcem, dopóki nie miał syna, nie wynika bynajmniej, że jego osoba nie istniała przed urodzeniem się syna.

Dok. nast.

Zjazd nauczycieli szkół wyższych w Krakowie.

(Dokończenie)

Co do rozszerzania autonomii w szkolnictwie, zapoznawania młodzieży naszej z geografią ziem polskich i obowiązkowej historyi polskiej, u stronnictw narodowych żadnej różnicy być nie może, żądania też te nie są nowe, tylko autorowie położyli na nie silniejszy nacisk. Wierzyć się nie chce, że z obawy przed rządem centralnym wypuszczano w książkach szkolnych zwroty i wiersze patryotyczne. Takie postępowanie wydaje się co najmniej dziwnem, jak dziwnem się wydaje unikanie wszelkich gorętszych wzmianek o Polsce. Na szczęście nauczyciele Polacy są zawsze w możności wpływać na młodzież w kierunku narodowym i młodzież ta wszystka ma w rękach wydania nie pokaleczone i nie poobcinane. W Galicyi wschodniej, mówiąc o unarodowieniu szkoły średniej, autorowie winni byli dotknąć trudnej i zawiłej sprawy ruskiej. Rzecz ta i Radzie szkolnej sprawia niejedną trudność i dążeniom polskim staje nieraz w poprzek; w referacie jednak o niej wzmianki nie ma, jak niema wzmianki o młodzieży żydowskiej.

Obawiam się nadto, że kierunek wskazany przez referat z jednej strony będzie wymagał wielkich wydatków, z drugiej zaś strony plany będą trudne do przeprowadzenia. Autorowie zastrzegają się, że nie myślą o szkole dla magnatów, ale przyjąwszy system angielskich szkół nowych, będą zmuszeni dla pokrycia wydatków żądać wielkich opłat, boć to wszystko tanim kosztem nie przyjdzie, a na nasze stosunki nie wielu się znajdzie prawdopodobnie gotowych do ponoszenia wysokich opłat. Plan nauki zaś wydaje mi się trudnym do przeprowadzenia, bo opieranie nauki na własnem do-

świadczeniu i lekturze wymaga ogromnego czasu, aby uczeń ogarnął cały materyał żądany. Liczba godzin nauki ma być zmniejszoną, wprowadzi się pracę na polu i w ogrodzie i w warsztatach, ilość przedmiotów musi być znaczna, aby uczeń odebrał jakieś wykształcenie ogólne — czy na rozczytywanie się i własne doświadczenie starczy czasu?

Myśl urządzenia szkoły próbnej na wzór angielskich na wsi, jest tak zdrową, że jej tylko przyklasnąć. Niestety szkoły po dużych miastach, szkoły państwowe, w tak szczęśliwem położeniu być nie mogą. Towarzystwo pedagogiczne warszawskie radzi je stawiać na przedmieściach, ale to wcale nie rozwiązuje wszystkich trudności.

Internatem zbyt się nie zachwycam, choć w dzisiejszych stosunkach jest rzeczą konieczną. Zdaje mi się, że dla młodzieży byłoby najlepiej, gdyby mogła znaleść dogodne warunki rozwijania się w domu rodzicielskim, gdyby się tu oswajała z pracą ręczną, z dolą i niedolą. Ale to niemożliwe, bo i w domach naszych rozmaicie bywa, nie zawsze mądrze i dobrze i zewsząd wciskają się do młodzieży pozostawionej sobie samej różne czynniki demoralizujące rozstrajające, że usunięcie jej z domu, z wielkich ognisk ruchu i brudu, staje się rzeczą nieraz konieczną. Urządzenie szkoły na modę internatu ułatwi wychowanie celowe, ułatwi też zbieranie doświadczeń. Ale uderzyć musi każdego uwaga p. Dobrowolskiej, że z nowych szkół angielskich jednostki wybitne nie wyszły dotąd.

Planów szczegółowych nie tykam, niech to robią specyaliści. Podzielenie szkoły na część niższą, mającą dać jakieś wykształcenie ogólne i na wyższą, w którejby wolno było uczniowi wybierać sobie przedmiot jakiś, czy grupę całą przedmiotów i w nich się gruntowniej kształcić, uważam za rzecz naturalną, autorowie jednak dokładnie rzeczy tej nie przedstawili.

Nie jasno przedstawili też autorowie, jak pojmują reformę w obecnych naszych szkołach. Wytknęli jej braki i niedostatki, wytknęli niemiłosiernie, czasem aż do przesady, gdy jednak przyszło do wniosków konkretnych, okazali się wstrzemięźliwymi. Prawda jednak, że łatwiej burzyć niż stawiać i roztropność nakazuje zachowywać budynek, jeśli się nie niema środków na postawienie nowego. Miejscami odnosi się nawet wrażenie, że autorowie są pessymistami.

Przecież nauka po szkołach naszych w małej chyba części odbywa się systemem »wgadywania«, przecież nauczyciele z reguły wymagają zrozumienia rzeczy, a nie zalecają bębnienia na pamięć. I nie same papugi wychodzą ze szkół naszych. Słusznie wskazuje dr. Marciszewski na rosnącą ciągle liczbę uczonych polskich, a wskazać też można na ruch w kraju w celach uprzemysłowienia go i w celach narodowych. Nie przeczę, że szkoła nasza wychowuje lepszy materyał na urzędników, niż na ludzi do wolnych zajęć, ale o tem wiedziano już dawniej i stosunki nasze winny, że zmiana przychodzi zbyt wolno.

Społeczeństwo, dom, działa przedewszystkiem w tym kierunku, nie szkoła. Ubóstwo nasze winno, że każdy marzy o karyerze urzędniczej, niema w spółeczeństwie tradycyi ducha przemysłowego i kupieckiego, to go i szkoła dać nagle nie może. Te same narzekania na biurokratyzm szkół naszych, na lojalizm przesadzony i sięganie po kołnierze złote czytałem jeszcze przed kilku laty w książce X. Ciemniewskiego o *Kształceniu charakteru*. Ale i wtedy już każdy mógł dostrzec ruch w kraju na rzecz szkół przemysłowych, zawodowych i realnych. Potrzeba tylko być cierpliwym, a swoją drogą i w szkołach naszych średnich w tym kierunku wpływać na młodzież, gdzie można i kiedy można. Praca warsztatowa, o jakiej pisze Dr. Jordan (Muzeum z września 1906) temu celowi bardzo powinnaby służyć.

Pewna przesada zdaje się także co do zarzutu, że szkoła nasza uczy kłamać, demoralizuje młodzież. Gotów uwierzyć p. Janisław Jastrzębowski, lub inny jaki tołstojowiec, że z zupełną słusznością może wołać: »Precz z obłudą w domu i w szkole«, gdy mnie się zdaje, że tak możnaby wołać tylko w pewnych wypadkach. Przecież nauczyciele postępują z młodzieżą w ogólności szczerze, a trudno znów brać im za złe, że nie mówią rzeczy, które młodzieży pożytku nie przyniosą, a mogłyby ją zgorszyć i zniechęcić do pracy, do życia. Że młodzież okłamuje, oszukuje, winno nieraz ubóstwo, dom, społeczeństwo. Różne przeszkody odrywają uczniów od spełnienia obowiązków szkolnych, a szkoła, nie mogąc zająć się każdym z osobna, żąda od każdego wszystkiego, a uczeń się boi i dla uniknięcia złych następstw kłamie. Odnosi się to przedewszystkiem do spraw drobnych. W sprawach ważniejszych kłamią znów uczniowie starsi, ukrywając się z wieloma rzeczami. Czy jednak szkoła może pozwolić wszystkim na wszystko czy może żądać, aby tylko moralni i wzorowi zapisywali się na naukę, czy może znać, jakim kto jest w rzeczywistości? Dlatego żadna szkoła państwowa kłamstwa w zupełności nie wykorzeni. Niedochodzenie zaniedbanych obowiązków zepsuje karność szkolną, dochodzenie zaś prowadzi uczniów do oszukiwania.

Nie jest też chyba nadzwyczajnem zjawisko, że młodzież nie ma zbyt wielkiej czci dla swej szkoły. To nadejdzie później, z wiekiem. Wówczas będzie wspominała z przyjemnością szkołę, dziś szkoła żąda pracy i dlatego staje się nieraz przykrą, a uczeń narzeka. Ale nie można mówić znów o wstręcie u młodzieży do szkoły obecnej. Wstręt taki jest chyba u jednostek zdemoralizowanych i rozpolitykowanych. Krzyki, śmiechy, biegania na przerwach chyba nie świadczą o zbytniem przygnębieniu i wstręcie do szkoły.

I upadek moralny młodzieży, na co się słyszy tak częste żale, ma swoje źródło w społeczeństwie przedewszystkiem i w domu. Brak przykładu w domu, brak w domu dobrych zasad, a zepsucie w społeczeństwie udziela się młodzieży, szkoła jej przed niem nie ustrzeże. Różne pisma senzacyjne, illustracye wciskają jej w ręce, a one drażnią zmysłowość, denerwują. Krytyka teatralna po dziennikach chwali nieraz rzeczy, które treścią swoją są w sprzeczności z etyką chrześcijańską, a młodzież ciekawa, jeśli ma pieniądze, zapoznaje się z tem, powoli traci niewinność, wstyd, cnotę, wiarę. Szkoła nie może zastąpić i domu i społeczeństwa, nie może też za wszystko odpowiadać. A i nieoględne, zbyt wczesne wciąganie młodzieży do walki i sporów politycznych i społecznych — co podnosił także hr. Piniński w Sejmie — ma i ujemne następstwa dla młodzieży. Jedni przetrwają pokusy, ci będą silni; drudzy jednak ulegną im. Szkoła może wyrabiać odporność, wyrabia ją też religia i Sakramenta spowiedzi i Komunii św., ale potrzebuje nadto szkoła, aby jej dom i społeczeństwo nie utrudniały pracy. Zresztą słusznie stanął w obronie młodzieży szkolnej dzisiejszej hr. Dzieduszycki i wiceprezydent Dr. Płażek: obok ze-

psucia i zaniedbywania obowiązków, spotyka się u niej także wiele pilności i pracowitości i idealizmu. Na upadek religijności również wpływa społeczeństwo i dom przez zły przykład, przez różnego rodzaju agitacye, przez pisma. I w tym względzie nie można całej odpowiedzialności składać na szkołę, ale więcej na dom i społeczeństwo. Zarzuty więc, jakie w tych kierunkach czynią autorowie szkole dzisiejszej, choć w pewnej mierze słuszne i uzasadnione, wydają się przecież przesadzonemi, dlatego i prof. Morawski nie godził się na tak gwałtowną krytykę szkoły naszej średniej i zaproponował odpowiednią zmianę w rezolucyi pierwszej.

Ale nie wolno posądzać autorów krakowskich o złą wolę, ani nawet o szukanie popularności. Wiele jest obłudy i powierzchowności w społeczeństwie, wiele jej też u młodzieży szkolnej — autorowie chcieli hydrze raz łeb urwać i dlatego w krytyce poszli za daleko. Należy im się jednak wdzięczność i uznanie za trud podjęty, za pracę, podyktowaną miłością ojczyzny i młodzieży. Spełnili wedle sił swoich czyn obywatelski, dostarczyli materyału do dyskusyi, dali dowód żywotności i czynności i złożyli świadectwo, że szkoła nasza nie jest w rozpaczliwym stanie, skoro i takich wydaje nauczycieli, choć poprawioną być powinna. Zebranie przez aklamacyę uznało to i wyraziło swe uznanie dla autorów referatu. A i zgromadzenie wieczorne w Hotelu Saskim, toasty tam wygłoszone, serdeczne okrzyki na cześć prof. Morawskiego i dra Jordana, nastrój w wysokim stopniu swobodny a patryotyczny, dowodziły, że o szkole polskiej nie wolno rozpaczać, że nauczycielstwo rozumie zadanie swoje i ma warunki, aby je spełnić.

Inne sprawy poruszane na zjeździe, obchodzić mogą samo tylko nauczycielstwo, więc ich tu poruszać nie widzę potrzeby. Przy wyborach do wydziału zaszły niespodzianki, częściowo później naprawione. Obradom przewodniczył cierpliwie do końca prof. Twardowski. X. Ślepicki, który imieniem zgromadzonych żegnał prezesa Twardowskiego i dziękował mu za umiejętne i wytrwałe kierowanie obradami, miał łatwe zadanie do spełnienia, bo na podziękowanie przewodniczący w zupełności zasłużył.

Taki był przebieg zjazdu — a znaczenie? Sądzę, że wielkie, bo nauczycielstwo na nim ujęło we własne ręce pracę nad reformą szkolną, przystąpiło do niej z rozwagą, zajęło stanowisko zgodne z przeszłością, w sprawie narodowej zaznaczyło wyraźnie charakter polski, a w sprawie religijnej okazało się przychylnem dla wiary katolickiej, bo podało szereg myśli, które przy reformie szkoły były potrzebne. Wśród chaosu haseł i programów zjazd stanowił kartę jasną i pewną. Choćby nawet szkoła próbna według rzuconego zarysu nie miała dla szkoły polskiej zbyt wielkiego znaczenia, w każdym razie dyskusya z tego powodu prowadzona wiele przyniesie owoców. Zjazd był wyrazem wielkiej siły żywotnej, jaka tkwi w nauczycielstwie polskiem i w polskim narodzie, był znakiem życia. Oby P. Bóg dał, by życie to rozbudzone rozwijało się wedle praw Bożych na chwałę narodu.

X. Szydelski.

Nowa „krytyka filozofii".

(Dokończenie).

Pogląd Schopenhauera przyswoił sobie Hartmann, którego »Philosophie des Unbewussten« zyskała sobie rozgłos niepospolity, jako płód »głębokiej spekulacyi metafizycznej, opartej o doświadczenie, o wyniki nauk przyrodniczych«. Ale zarówno w tem dziele, jak i w swojej »Kategorienlehre« (wydanej w r. 1896) nagromadził Hartmann tyle niedorzeczności, że trzeba go zaliczyć (zgodnie z Willy'm) do reprezentantów owej pseudo-filozofii, która nie przyczynia się do postępu umiejętności. Wystarczy przytoczyć kilka jego oryginalnych, a uderzających swoją jasnością definicyi: »Przestrzenność (die »Räumlichkeit«) jest formą aktualności siły., a więc przypadłością przypadłości« itd. »Funkcya dynamiczna« scharakteryzowana jest doskonale wyrazami: »telistyczno-idealna albo idealno-telistyczna«; — ale więcej jeszcze rozjaśnia się nam w głowie, kiedy się dowiadujemy, że mowa tu jest o »duchowości nieświadomej, niemateryalnej, nie posiadającej żadnych narządów«. »Racya jest substancyą absolutną w swojej logiczno-dynamicznej istocie« itd.

Bardzo kompromitującym dla filozofii nam współczesnej jest także system Mongre'go (pod tym pseudonimem wydał jeden z profesorów matematyki w Lipsku w r. 1898 książkę p. n. »Das Chaos in kosmischer Auslese«), który w nowej formie powtarza błąd, popełniony przez Kanta, — sądząc, że coś całkiem nowego wymyślił. To, co nazywamy światem zewnętrznym, jest według Mongré'go dziełem naszego umysłu, — tego bowiem dowiódł rzekomo Kant. Dotąd jednak nie wiedzieliśmy nic o materyale, który przekształca się na widzialny dla nas »kosmos«; — dopiero Mongre umie nam coś o tem powiedzieć. »Rzeczy same w sobie« istnieją w stanie całkiem bezładnym i »chaotycznym«, tam wszystko jest »rozbite na nic nie znaczące odłamy,«, wszystko jest pomieszane, martwe, skamieniałe«. Ten nieskończony chaos pierwotny jest niejako wielkim zbiornikiem, z którego umysł ludzki (i innych istot, obdarzonych świadomością) czerpie materyały, budując sobie swój uporządkowany »kosmos«; — może więc istnieje dużo jeszcze innych światów, całkiem od naszego różnych, ale o nich już p. Mongre nie może nam żadnych udzielić objawień.

Do wielbicieli Kanta należy także Lange, autor cennej »historyi materyalizmu«, ale i na nim odbił się wpływ mistrza bardzo niekorzystnie: zwątpił on, równie jak Kant, o możliwości poznania, a próżnię, która przez to w duszy jego powstała, usiłował zapełnić »poezyą pojęciową«, złożoną z wyników nauki, tworów wyobraźni i podań religijnych.

Inną znów drogę wybrali sobie najnowsi przedstawiciele »krytycyzmu«: *Avenarius* i *Petzoldt*. Spróbowali oni usunąć z filozofii wszelką metafizykę i zastąpić ją »czystem doświadczeniem«. Pierwszy chciał stworzyć nową umiejętność: „mechanikę życia" (»Biomechanik«), czyli sprowadzić wszystkie objawy życia do sił przyrody, które działają na nasz system nerwowy a w szczególności na materyę mózgową. System jego składa się ze schematów pojęciowych i nic nie przynosi w gruncie rzeczy nowego oprócz znacznej ilości spostrzeżeń psychologicznych. Poglądy jego stara się dalej rozwinąć i ugruntować Petzoldt w dziele p. n. »Einführung in die Philosophie der reinen Erfahrung» (Lipsk 1900 i 1904 dwa tomy). Myślą jego przewodnią jest, że psychologia musi mieć podstawę fizyologiczną, bo głównym wymagalnikiem umiejętności jest »jednoznaczność wszystkiego, co się dzieje« (»Die Eindeutigkeit alles Geschehens«). Nowy ten termin filozoficzny znaczy u Petzoldt'a, że wszystkie zjawiska muszą podlegać ścisłej, tj. matematyczno-przyrodniczej prawidłowości. Ponieważ jednak ta prawidłowość nie da się wykazać w dziedzinie życia duchowego, więc nie można odmówić słuszności zarzutowi Willy'ego, że właśnie dlatego wartość podstawy fizyologicznej okazuje się iluzoryczną dla psychologii. Ale Petzoldt zajmuje się także socyologią a mianowicie upa-

truje on w stałości praw natury rękojmię, że kiedyś rodzaj ludzki doczeka się na ziemi czasów szczęśliwych: rozum, porządek i sprawiedliwość zapanują wtedy we wszystkich krajach; wszystkie zagadnienia filozoficzne i przyrodnicze będą rozwiązane; nikt nie będzie cierpiał niedostatku, — jednem słowem: będzie to jakiś nowy raj na ziemi. Jest to oczywiście „muzyka przyszłości", której wolno słuchać z niedowierzaniem. Trudno też zrozumieć związek tych przepowiedni ze stałością praw natury; — pomyślny rozwój ludzkości zależy raczej od czynników psychicznych.

Nie imponują także Willy'emu inni koryfeusze współczesnej nam filozofii, a mianowicie bardzo niekorzystnie ocenia on wartość systemów Spencera i Wundt'a. Pierwszy wierzy święcie w swoją cały świat obejmującą filozofię »syntetyczną,« ale jest właściwie tylko bardzo uczonym encyklopedystą, który wymyślił sobie pewne formułki i stara się w nie wtłoczyć wszystkie możliwe zjawiska. Wielkie jego »prawo rozwoju« jest to zasada »zachowania energii«, zastosowana do wszystkiego, co istnieje na świecie, chociaż jest rzeczą oczywistą, że ono nie kieruje życiem duchowem ludzkości i ma znaczenie tylko dla pewnej dziedziny nauk przyrodniczych. Spencer jednak usiłuje prawem tem objąć i astronomię i chemię i biologię i dzieje narodów i cywilizacyi, przyczem składa dowody ogromnego zasobu wiedzy i zdolności kombinacyjnej, ale celu swojego nie osiąga. Drugiem jego wielkiem »odkryciem« jest, że po za ową „siłą, wiecznie trwającą i ilościowo zawsze równą« istnieje coś „niepoznawalnego", jakieś X. które pozostanie zawsze dla nas niewiadomą. Jak wszyscy prawie filozofowie angielscy, tak mniema i Spencer, że poznanie nasze nie może przekroczyć granic doświadczenia i że wprawdzie coś musi istnieć po za zjawiskami ale to coś jest dla badań naszych całkiem niedostępne; ten kierunek filozoficzny nazwano »agnostycyzmem«. Otóż i Willy jest agnostykiem, ale on nie chce wcale filozofować. Spencer zaś był przekonany, że jego wymysły rzuciły nowe światło na rozwój wszechrzeczy na ziemi i niebie.

W tem samem miłem złudzeniu żyje i Wundt, który jednak śmiałym krokiem przestąpił zakres wiedzy doświadczalnej i zbudował nowy gmach metafizyczny w swoim »systemie filozofii«. Według niego złożony jest wszechświat z jakichś tajemniczych »jednostek woli« („Willenseinheiten"), które skupiają się we wszystkich przedmiotach, tworzą organizmy a w naszem »ja« dochodzą do świadomości siebie[1]). Ale ta jego »wola« jest czemś bardzo różnem od tego, co zwyczajnie nazywamy wolą: nie jest to dążenie świadome swych pobudek i celów, jest to raczej zjawisko jakieś, które rozwija się szczególniejszym sposobem tak, że z niego powstaje uczucie, wyobrażenie i myśl. O jakichś, »istotach«, chcących czegoś, nie może być według Wundta mowy, przynajmniej w tem znaczeniu, w jakiem dawniejsza psychologia mówiła o duszy: są tylko jakieś popędy, w których zespalają się w całość nierozłączną wyobrażenia, uczucia i akty woli i z których rozwijają się inne, wyższe, ale nie różniące się od nich specyficznie stany świadomości. To zaś, co każdy nazywa swojem »ja«, jest »organizacyą duchową«, złożoną z owych zjawisk elementarnych, z owych »jednostek woli«, a identyczną z ustrojem cielesnym. Praca zaś duchowa całej ludzkości ma znów stwarzać t. zw. »Istotę najwyższą czyli Boga«! Sam jednak Wundt przyznaje, że te hipotezy noszą na sobie piętno »urojenia« (»einen imaginären Charakter«)[1]). Filozofia jego zlewa w sposób prawdziwie zdumiewający to, co rozróżniała stara metafizyka. logika i psychologia, a z nią, i rozsądek pospolity: podobnie jak niema już według niej różnicy istotnej między aktem woli i aktem poznania (bo i to jest sprawą woli!), tak niema jej również między materyą a tak zw. »duszą«; niema jej także między myśleniem a czynnością wyobraźni; fantazya to »myślenie w obrazach«, ale »bez składników pojęciowych«, a rozum to »ein Phantasiren in Begriffen«. Każde myślenie jest »chceniem«, które różni się od innych aktów woli jedynie tem, że łączy wyobrażenia i wytwarza jakieś między niemi stosunki. Kiedy więc rozpoznaję n. p. przyczynę pewnego zjawiska, łączę aktem woli treść jednego wyobrażenia z treścią drugiego. Tu jednak nasuwa się pytanie: skąd bierze się w duszy naszej świadomość, że te stosunki »wyobrażeń« (czyli raczej pojęć) są od woli naszej niezawisłe, że nigdy skutku nie możemy uważać za przyczynę itp.? Czyż można istotnie uważać przeświadczenie powszechne, że są jakieś przedmioty i że istnieją pewne między nimi stosunki, które umysł nasz tylko rozpoznaje, za niezgodne z prawdziwym stanem rzeczy?

Według Wundta da się wszelka przyczynowość sprowadzić do zawisłości logicznej, którą myślenie uznaje za coś koniecznego, którą jednak samo wytwarza. Niema żadnych przedmiotów różnych od poznającego podmiotu. Nie wiadomo jednak, jak pogodzić te zdania z »krytycznym realizmem«, do którego przyznaje się Wundt w rozprawie swojej p. n. »Ueber naiven und kritischen Realismus« (»Philosophische Studien« z r. 1896 II. Bd. 3 tes Heft): tu mówi on całkiem słusznie, że co ścisła umiejętność uznaje za prawdę objektywną, to i teorya poznania powinna przyjmować za prawdę (str. 330 sq). Otóż postulatem nauk przyrodniczych jest istnienie świata materyalnego, w którym zachodzą związki przyczynowe całkiem różne od zawisłości logicznej i nie wytworzone przez poznający je podmiot.

Za wiele jednak musiałbym pisać, gdybym chciał uwzględnić wszystkie zarzuty, które uczynił Willy najgłośniejszym filozofom dawniejszym i nowszym. Nie oszczędził on i materyalistów: system Häckel'a nazywa on chaotyczną mieszaniną pewnych wyników nauk przyrodniczych z pojęciami scholastycznemi a jego »Welträtsel« — »biblią wszystkich niemieckich oświeconych filistrów« (str. 128). Widzi on też dobrze całą płytkość i nicość pseudo-filozofii materyalistycznej, która sprowadza wszystko na świecie do atomów i próżnej przestrzeni. Według niego są to tylko pojęcia fikcyjne, któremi posiłkuje się nauka, dopóki okazują się dla niej przydatnemi, są to »cienie matematyczno fizyczne«, którym nie powinno się przypisywać bytu po za naszą świadomością (str. 57 i 62).

Tu warto zaznaczyć, że dzisiaj coraz większy zastęp przyrodników występuje przeciw takiemu pojmowaniu hipotezy atomistycznej, jakie napotykamy u materyalistów. I tak przyznaje sławny Dubois-Reymond[2]), że »atom fizyczny, czyli masa, wyobrażana jako znikająco mała, w porównaniu do ciał, które nas otaczają, lecz jako masa, wbrew swojej nazwie idealnie jeszcze podzielna, której przypisujemy własności lub stany dynamiczne, wyjaśniające zachowanie się mas, składających się z niezliczonego mnóstwa takich atomów, —

[1]) Zaznaczam, że nie wszystkie zdania, wypowiedziane powyżej o filozofach, których Willy osądza, wyczytałem z jego książki; dodaję bowiem gdzieniegdzie własne uwagi, które mi nasunęły ich dzieła. To odnosi się szczególnie do Wundt'a, z którego systemem nie zapoznaje Willy wcale swych czytelników, ponieważ byłoby to, jak mówi, rzeczą niemożliwą. Zdania i cytaty, znajdujące się w ustępie powyższym, poświęconym Wundtowi, wydrukowałem już raz w »Dodatku objaśniającym« do mojej »Logiki elementarnej« (Tarnów 1897).

[1]) »System der Philosophie (Leipzig 1889 Str. 39. 141. 579, 389, 391).

[2]) Por. jego odczyt »o granicach poznania natury«, tłum. przez Massoniusa (Warszawa 1898 str. 7).

jest f i k c y ą poprawną i w pewnych wypadkach... niezmiernie pożyteczną.. Natomiast a t o m f i l o z o f i c z n y, czyli masa dalej niepodzielna bezwładnego, niezdolnego do działania podścielisko, z której wychodzą siły, działające przez pustą przestrzeń na odległość, — jest przy bliższem zbadaniu n i e d o r z e c z n o ś c i ą. Jeżeli bowiem podścielisko niepodzielne, bezwładne, samo przez się nie mogące działać, ma mieć rzeczywiste istnienie, to musi ono zajmować j a k ą ś, c h o ć b y najmniejszą przestrzeń. W takim razie niepodobna zrozumieć, dlaczegoby nie miało być nadal podzielnem. Następnie, może ono wypełniać przestrzeń tylko o tyle, o ile jest absolutnie twarde, t. j. o ile uniemożliwia wniknięcie w daną przestrzeń jakiegokolwiek innego ciała, zapomocą działającej na jego granicy (ale nie po za nią) siły odpychającej... W takim razie owo podścielisko posiada możność działania« itd.

W ostatnich czasach próbują najznakomitsi badacze wyjaśniać zjawiska przyrody zapomocą nowej hipotezy, która ma zastąpić atomistyczną: oto przypuszczają istnienie we wszystkich ciałach t. zw. »e l e k t r o n ó w« tj. małych cząsteczek, obdarzonych silnymi nabojami elektrycznymi. W miejsce mas mechanicznych wprowadzają pewnego rodzaju »masy (albo raczej siły), elektryczne«, które nie mają nic wspólnego z dawnymi, niepodzielnymi atomami. Masa elektronów ma być« natury elektro magnetycznej« [1]). Ale jakiekolwiek będą dalsze wyniki badań przyrodniczych, w każdym razie pozostanie pogląd materyalistyczny na powstanie wszechrzeczy z atomów, przez nikogo nie kierowanych i posiadających byt absolutny, hipotezą antifilozoficzną.

Ale wróćmy jeszcze do książki Willy'ego. Dotąd poznaliśmy go tylko jako bezwzględnego krytyka, wykazującego słabe strony dawniejszych i nowszych systemów metafizycznych, zobaczmy teraz na końcu, jak on sam pojmuje zagadkę świata? Jak już powiedziałem, należy on do najskrajniejszych sceptyków, — o jednej tylko rzeczy nie wątpi, tj. o tem, że nic nie istnieje na prawdę, że nie ma żadnych jestestw ani duchownych ani materyalnych, że są tylko doznawane przez nas w r a ż e n i a. Człowiek powinien myśleć tylko o »produktywnem« używaniu sił swoich i przyjemności, jakich mu dostarcza chwila obecna, nie potrzebuje zaś krępować się ani wiarą w Boga i nieśmiertelność duszy ani prawami moralnemi wymyślonemi przez twórców religii albo przez filozofów. Jest to więc negacya wszelkiej filozofii, jest to pogląd na życie człowieka, który zwątpił zupełnie o możności poznania przyczyny i celu swojego istnienia i chce zajmować się jedynie tem, co dogadza jego upodobaniom. Nie potrzebuję dodawać, że autor nie potrafił przytoczyć żadnego argumentu logicznego na poparcie swych twierdzeń.

X. Aleksander Pechnik.

Kronika Kościelna.

Nowa ustawa o kulcie katolickim.

Walka, wydana Kościołowi przez radykalistów i socyalistów francuskich, weszła obecnie w nową fazę. Odrzucenie ustawy „rozdziałowej" przez Ojca św. zgotowało rządowi położenie bardzo trudne i kłopotliwe. Twórcy jej sądzili, że ustawa ta według ich oświadczeń bardzo liberalna i nadająca Kościołowi wielkie »przywileje«, sprowadzi w końcu, powoli i nieznacznie, bez walki i prześladowań, zupełne jego ujarzmienie. »Związki wyznaniowe« miały zajmować się kultem religijnym pod troskliwą opieką i ciągłym nadzorem rządu, miały opłacać księży i koszta nabożeństw i starać się o utrzymanie budynków kościelnych w dobrym stanie. Wolno im było zbierać składki w tym celu, byleby tylko nie gromadziły majątków, bo mogłyby zagrażać bezpieczeństwu rzeczypospolitej, gdyby skupiły w rękach swoich kapitały, z których mogłyby czerpać na cele agitacyi wyborczej albo na inne machinacye, skierowane przeciw partyi rządzącej. Kapłanom, utrzymywanym przez związki, pozwolono głosić Słowo Boże i całkiem swobodnie spełniać czynności religijne, ale rozumie się pod ciągłą kontrolą policyi, której obowiązkiem miało być natychmiastowe surowe karanie księży, wzywających w kościele do oporu przeciw ustawom republiki. Innych obywateli stawia się za takie wykroczenie przed sąd przysięgłych, ale duchowieństwo poddała partya rządząca w głębokiej mądrości swojej sądowi policyi poprawczej, bo wiadomo, że sądy przysięgłych bywają nieobliczalne, że więc mogłyby wydawać niemiłe dla rządu wyroki uwalniające, czego nie zrobią urzędnicy od niego zawiśli.

A więc cicho, spokojnie zamierzali twórcy ustawy rozdziałowej dojść do tego samego celu, do którego miał Niemcy doprowadzić nieudały „Kulturkampf". §. 4 miał dać katolikom rękojmię, że budynki i dobra kościelne nie będą oddane schismatykom albo protestantom, bo przyznawał je tylko związkom „stosującym się do reguł ogólnych kultu", ale o tem, czy jakiś związek jest katolicki, miał wyrokować w ostatecznej instancyi nie Biskup ani Papież (których ustawa wcale nie wymienia, bo jest ułożona dla wszystkich wogóle wyznań), tylko (według §. 8) „Rada państwa", która więc mogła wśród pewnych okoliczności, na życzenie rządu, powierzać majątki kościelne „katolikom stosującym się do reguł ogólnych kultu", ale nie poddającym się Biskupowi. A zresztą czyż nie można było żywić nadziei, że znajdą się i Biskupi, którzy wraz z większością republikańską będą ignorowali zupełnie Stolicę Apostolską i przyczynią się w ten sposób do urzeczywistnienia programu rządowego?

Wszystkie te jednak subtelne rachuby pokrzyżował Ojciec św., potępiając całą ustawę i stawiając rząd w przykrej kolizyi. Ministerstwo stanęło teraz wobec tej alternatywy: albo wypadało odebrać kościoły katolikom i oddać je gminom, których one są „własnością" według ustawy rozdziałowej i karać księży, którzy zechcą nadal odprawiać nabożeństwa, co byłoby także postępowaniem w swoim rodzaju „legalnem", ponieważ po zniesieniu konkordatu nie istnieje już we Francyi żadna ustawa, zezwalająca na publiczny kult religijny, oprócz ustawy rozdziałowej a ta przyznaje prawo do urządzania nabożeństw tylko związkom wyznaniowym; albo też trzeba było wymyśleć jakieś inne, nowe przepisy prawne, któreby umożliwiały dalsze trwanie „legalne" kultu katolickiego. Pierwszego z tych dwóch sposobów nie chciał użyć Clemenceau, bo lęka się jawnej walki z katolikami i pojmuje, że byłoby rzeczą niebezpieczną ciągle posługiwać się wojskiem (jak przy inwentaryzacyi) dla złamania ich oporu i poskromienia „rokoszu"; pozostał więc tylko sposób drugi: pozwolono więc odprawiać dalej nabożeństwa, posługując się fikcyą prawdziwie niedorzeczną, że do nich da się zastosować ustawa o „zgromadzeniach publicznych" z r. 1881. Zażądano tylko od księży tej drobnostki, żeby raz na rok zgłaszali swoje „zgromadzenia" w policyi. Na to mógł się jeszcze Kościół zgodzić bez trudności, jako na formalność, nic nie znaczącą. Ale okólnik Brianda zawierał jeszcze inne gorsze przepisy, zgodne zresztą z ustawami republiki: odebrano proboszczom zarząd kościoła, nie pozwolono im pobierać żadnych opłat na potrzeby kultu, a sprzęty kościelne (z wyjątkiem naczyń i szat liturgicznych), wszystkie fundacye mszalne i wogóle wszystko,

[1]) Por., co pisze W. K a u f m a n n w »Nachrichten der k. Gesellschaft der Wissenschaften zu Göttingen, mathematisch physikalische Klasse 1903, Heft 3. cyt. przez H ö f l e r'a w cennej tegoż rozprawie p. n. „Zur gegenwärtigen Naturphilosophie" (Berlin 1904 Str. 135).

czem dotąd zawiadowali proboszcze i t. zw. „fabryki“ na podstawie konkordatu i co nazywano „majątkiem kościelnym“, to wszystko wzięto w sekwestr, bo komuż to miano powierzyć, kiedy nie istnieją związki wyznaniowe? Miano nadzieję, że jeszcze tym sposobem zmusi się Kościół do utworzenia tych związków i do przyjęcia ustawy.

Ale Papież znowu okazał się nieugiętym; polecił ignorować okólnik ministra i odprawiać dalej nabożeństwa bez żadnych deklaracyi, jak gdyby nic nie zaszło, jak gdyby duchowieństwo miało jeszcze prawo do gospodarowania po kościołach. Tego nie mógł naturalnie rząd znieść spokojnie i postanowił prowadzić walkę, którą według niego wydał mu sam Papież. Ale teraz trzeba było coś nowego wymyśleć, trzeba było odstąpić od fikcyi, że ustawa rozdziałowa, przyjęta chętnie przez inne wyznania, istnieje także dla katolików. A więc p. Briand przedłożył nową ustawę, przyjętą już przez Izbę deputowanych i przez Senat w braku czegoś mędrszego. Ustawa ta pozwala katolikom tworzyć stowarzyszenia na podstawie ustawy z r. 1901, którym będą oddane kościoły i które mają zastąpić związki wyznaniowe, przewidziane w ustawie z r. 1905. A więc katolicy mogą pozostać na gruncie legalnym, urządzać bez przeszkody swoje nabożeństwa i zbierać pieniądze na reparacyę kościołów. Majątki zaś kościelne przejdą na własność gmin. Ale jest rzeczą oczywistą, że i ta ustawa nie może zadowolić katolików: zabiera ona im wszystko, co dotąd posiadali, nie zabezpieczając im wcale prawa do używania kościołów, pod tym względem zachodzi między ustawą nową a dawniejszą ta tylko różnica, że według ustawy rozdziałowej miało być rzeczą „Rady państwa“ (jak już powiedziałem) wydawać wyroki decydujące, gdyby gdzieś powstało kilka związków wyznaniowych i gdyby każdy z tych związków wystąpił z pretensyą do używania pewnego kościoła. Nowa zaś ustawa pozostawia decyzyę w takich wypadkach, prefektom (starostom) i merom (wójtom), którzy mogą w porozumieniu z większością rad gminnych pozwalać proboszczom, którzy zawiążą przepisane stowarzyszenie, na używanie kościołów albo też oddawać je innym jakimś stowarzyszeniom. Wolno jednak katolikom wytoczyć proces merowi, który im zabierze kościół bez podstawy prawnej a sąd może rozstrzygnąć spór na ich korzyść. Ale minister nie przypuszcza, jak powiedział w Izbie, że merowie republikańscy okażą się nieżyczliwymi dla podwładnych im katolików i że zechcą oddawać kościoły innowiercom albo schismatykom.

Ustawa ta jest po prostu dziwolągiem jeszcze mniej udałym od rozdziałowej. Słusznie powiedziano w Izbie dep. że wprowadza anarchię w dziedzinę spraw, które miała uporządkować. Można przewidywać, że w miejscowościach, które posiadają rady gminne nieprzychylne Kościołowi, będą katolicy wypędzeni z przybytków Pańskich, że jednak w wielu wypadkach sądy i sami ministrowie staną po ich stronie, aby zapobiedz starciom i zaburzeniom. W każdym jednak razie piękna ta ustawa nie da się długo utrzymać. Kościół nie zginie pod ciosami radykałów, poniesie tylko ciężkie straty materyalne: księżom zabrano pensye, zapewnione im przez konkordat, pałace biskupie i seminarya przywłaszczył sobie rząd, klerycy będą musieli odbywać służbę wojskową i t. d. Nie godzi się jednak wątpić, że ofiarność wiernych zabezpieczy duchowieństwu środki do życia potrzebne.

Odrzucenie paragrafu „kaznodziejskiego“ przez austryacką Izbę deputowanych.

Wniosek posła Ferjanczica, zagrażający surowemi karami księżom, którzyby dopuszczali się agitacyi wyborczej w kościele, odrzucono znaczną większością. Wystąpił przeciw niemu minister sprawiedliwości, wykazując, że wniosek domaga się ustawy wyjątkowej całkiem zbytecznej, ponieważ już na podstawie kodeksu karnego można ścigać sądownie duchownych, którzyby obietnicami lub groźbami krępowali wolność wyborców. Zresztą w wielu wypadkach nie potrafiliby sędziowie rozstrzygnąć, czy to lub owo kazanie albo też inna czynność religijna da się podciągnąć pod paragraf, projektowany przez Ferjanczica. Także socyalista Adler oświadczył się przeciw temu paragrafowi, wychodząc z tego stanowiska, że socyaliści muszą być przeciwnikami wszystkich ustaw wyjątkowych (innej zasady trzymają się obecnie, jak wiadomo, „towarzysze“ we Francyi, popierający radykałów w walce z Kościołem, czego im nasi Naprzodowcy wcale za złe nie biorą)! Dobrze odpowiedział ks. Pastor wnioskodawcy w komisyi dla reformy wyborczej, że tylko sami Biskupi mają prawo kontrolować spełnianie funkcyi religijnych w kościele, a zresztą ksiądz ma obowiązek przyczyniać się do wyboru dobrych kandydatów, a występować w naukach swoich przeciw szkodliwym dla Kościoła i państwa. Nie sprawdziły się na szczęście obawy, że część posłów polskich oświadczy się za przyjęciem paragrafu, ze względu na tych księży ruskich, którzy niestety agitują nieraz, w sposób przekraczający wszelką miarę dozwoloną za wyborem swoich rodaków. *N.*

Bibliografia.

Antoni Szech *»O pracy katolickiej«* (Kraków, 1906. Stron. 88).

Broszura ta czyni wrażenie piosnki bardzo starej, ale odśpiewanej niedobrze, z fałszywym patosem, a nadto w niewłaściwem miejscu. Od czasu, jak Kościół istnieje, działo się w nim zawsze niestety dużo złego i już św. Jan Apostoł widział się zniewolonym zganić surowo niektórych nawet biskupów w swojej Apokalipsie. Posiadamy też niezliczoną ilość pism, których autorowie z boleścią, albo z gorzkim sarkazmem karcą występki, nadużycia i zaniedbania, popełniane przez księży i przez najwyższych dostojników duchownych i wskazują na sprzeczność, wpadającą w oczy, pomiędzy nauką Chrystusową a czynami katolików. Nic zatem nowego nie mówi nam autor, kiedy narzeka na brak miłości i poświęcenia, na małoduszność, na dewocyę fałszywą, formalistyczną i na inne wady, które można zarzucić słusznie wielu członkom Kościoła i wielu osobom duchownym. Niema też żadnej myśli oryginalnej i uwagi godnej w jego żądaniu, żeby katolicy pracowali dla dobra ojczyzny swojej, żeby popierali wszystkie usiłowania zacne i pożyteczne, żeby starali się wedle możności przyczynić się do polepszenia bytu warstw pracujących i żeby pozyskiwali sobie serca ludu. To samo pisał przed kilkudziesięciu laty Biskup Ketteler, to samo czytać można w setkach i tysiącach książek i czasopism niemieckich, francuskich, polskich i innych (z ostatnich czasów wymieniam tylko list pasterski J. E. X. Arcybiskupa Bilczewskiego, wzywający gorąco wszystkich katolików do pracy społecznej i znaną ankietę „Przeglądu Powszechnego“).

Ale tu zaraz nasuwa się odpowiedź, którą może dać autor: Chciałem te rzeczy powtórzyć, bo ludzie potrzebują, żeby im ciągle przypominano ich obowiązki, a zwłaszcza przykazanie miłości. Wszakże i św. Bernard nie mówił nic nowego, kiedy gromił wykroczenia duchownych i wzywał ich do naśladowania Chrystusa (por. str. 36, gdzie autor powołuje się na tego Świętego)! Temu nikt nie przeczy: chodzi jedynie o to, żeby kaznodzieja i moralizator uwzględniał czas, miejsce i okoliczności, wśród których przemawia, żeby zdawał sobie sprawę z tego, jakich ma przed sobą słuchaczy i jaki może być pożytek z jego upomnień: w naukach rekolekcyjnych, których słuchają kapłani, można i trzeba powiedzieć nie jedno, co nie nadaje się wcale na osnowę kazań, głoszonych do ludu. I św. Bernard nie uznałby tego z pewnością za rzecz dobrą, że kapłan (jak wiadomo już powszechnie, ukrywa się pod pseudonimem Szecha pewien zakonnik) w taki sposób pisze w broszurze, przeznaczonej dla kół szerokich, o działalności Kościoła i tych, którzy go słuchają: »W sferach katolickich aspiracye narodowe, walka o prawa najsłuszniejsze a bezbożnie podeptane, spotykały się z obojętnością i potępieniem często. Inni walczyli, cierpieli — katolicy potępiali!« (str. 12) Reprezentanci Kościoła byli wrogami wolności, dlatego ludzkość widzi w nim dzi-

siaj »symbol reakcyi i wsteczniciwa« (str. 15). Katolicy nie dbają o warstwy niższe, tylko »o łaskę rządów i możnych« (str. 21), są przeciwnikami wszelkiego postępu, nie znają tolerancyi dla niewierzących (22—24). »Katolicyzm, jak go dziś przedstawiają w różnych obszernych katechizmach i wykładach, a zwłaszcza w naukach i kazaniach, jest nie do przyjęcia dla ludzi XX wieku« umie on tylko grozić piekłem i wydawać »najrozmaitsze nieumotywowane niczem przepisy (69) i t. d.

Możemy być pewni, że nieprzyjaciele Kościoła nie omieszkają wyzyskać dla swoich celów tej charakterystyki katolicyzmu, a w szczególności Episkopatu polskiego, do którego odnoszą się widocznie w pierwszym rzędzie te zarzuty; czytelnicy »Przyjaciela ludu« znajdą w broszurze Szecha potwierdzenie oskarżeń, których pismo to nie szczędzi duchowieństwu. Jeżeli autor ma jakieś żale uzasadnione do któregoś z Biskupów, powinien był je przedłożyć Stolicy Apostolskiej, ale takie ogólnikowe sądy ujemne o naszej hierarchii i całym obozie katolickim są tylko wodą na młyn jego wrogów. Jeżeli gdzie, to w Królestwie nie brakło w ostatniem stuleciu Biskupów i księży, którzy musieli znosić ciężkie prześladowanie za to, że kochali lud i ojczyznę, że nie szli na rękę rządom i panom tego świata; — prawda, że duchowieństwo nie miało zwyczaju uderzać publicznie na ciemięzców kraju i szukać męczeństwa, ale za to nikt nie ma prawa go gromić, bo z takich wystąpień ani Kościół ani też naród nie miałby korzyści. Miłość Boga i ojczyzny da się bardzo dobrze pogodzić z roztropnością, która każe unikać mów niepotrzebnych, skierowanych przeciwko władcom kraju. Jeżeli zaś jednostkom każe milczeć samolubstwo, nie godzi się za to poniżać duchowieństwa w oczach czytelników, nie umiejących należycie osądzić oględnej polityki Kościoła. Te same ogniste odezwy, które dziennikarzom i publicystom zyskują wziętość i pochwały, byłyby ciężkimi błędami, gdyby je ogłaszali reprezentanci Kościoła w Polsce.

Jak dalece autor nie liczy się ze słowami i jak lekko traktuje zagadnienia najtrudniejsze, o tem świadczy także zdanie, wypowiedziane przez niego o socyaliźmie (str. 79 sqq). Według niego można i trzeba cały dzisiejszy ustrój społeczny zmienić radykalnie »od góry do dołu«. Społeczeństwo »ma prawo, jako prawdziwy właściciel wszystkiego, urządzić się tak, jak uważa za najdogodniejsze dla siebie« — to znaczy zapewne, że wolno mu znieść i własność prywatną, która przecież polega na prawie natury i która jest jednym z koniecznych warunków pomyślnego rozwoju ludzkości, jak uznają wszyscy ekonomiści — z wyjątkiem utopistów i komunistów. Wszakże właśnie dlatego nie da się myśl przewodnia socyalizmu pogodzić z nauką chrześcijańską, że według niego wolno jest społeczeństwu urządzić się, jak chce, bez względu na przykazania Boże i na prawo przyrodzone każdej jednostki do nabywania własności i do koniecznej dla jej szczęścia swobody, która nie byłaby możliwą w państwie kollektywistycznem. Nie jest też prawdą, co mówi autor, że ziemia posiada »zasoby niewyczerpane« i że »sama dolina Amazonki wydać może tyle zboża co roku, ile potrzeba na wykarmienie całej ludzkości« (!). Tak mówią socyaliści, licząc na naiwność tłumów, ale ekonomiści nie wierzą temu, żeby jakakolwiek reforma społeczna mogła zapewnić całej ludzkości zaspokojenie zupełne wszystkich jej potrzeb. A dalej zdradza się autor z zupełną nieznajomością socyalizmu, kiedy twierdzi, że ten »może« wskutek nieroztropnego zachowania się katolickiego obozu stał się »antykatolickim, antykościelnym«. Twórcy doktryny socyalistycznej, Marx i Lassalle, byli żydami i przeciwnikami wszelkiej religii, z którą socyalizm właściwy nie chce i nie może nawet się pojednać.

Nie odmawiam autorowi dobrej woli, szlachetnego zapału i krasomówczego polotu, ale jest to »żarliwość Boża nie według umiejętności«, jak pisze św. Paweł o żydach (Rzym. X, 2), żarliwość, która może źle sprowadzić następstwa, jeżeli autor nie będzie pisał z większą rozwagą i roztropnością, jeżeli nie będzie trzymał się starej maksymy: »Quidquid agis, prudenter agas et respice finem«.

X. P.

A. Forel: *„Sexuelle Ethik“* (München 1906).

Poczytuję sobie za obowiązek podać do wiadomości Czytelników Gaz. Kość. zasady Forela, a to z tego powodu, że jest on jednym z głównych działaczy na polu etyki niezależnej, powtóre, że dzieło jego: „Die sexuelle Frage“ świeżo przetłumaczono we Lwowie na język polski [1]). Poglądy jego dostatecznie poznać można już z odczytu, wydanego pod napisem wyżej przytoczonym. Autor wyraźnie przedstawia się jako nieprzyjaciel religii; pojęcie Boga i Objawienia ma być według niego wytworem histeryi i obłędu, jak to niby wykazuje hypnotyzm i psychiatrya. Odrzuciwszy pojęcie Boga a zarazem chrześcijańskie pojęcie sumienia i obowiązku, tłumaczy po swojemu sumienie. Według niego sumienie jest uczuciem, które powstaje z walki między popędem samozachowawczym, a popędem sympatyi czyli między egoizmem a altruizmem. Np. gdy widzę bliźniego w biedzie a nie dopomogę mu, powstaje we mnie uczucie nieprzyjemne; gdy dopomogę, uczucie przyjemne: otóż to uczucie jest sumieniem. Powstało ono z instynktownych czynności zwierząt, rozwinęło się w człowieku, a metą jego rozwoju będzie zanik egoizmu na rzecz altruizmu. Moralnem zaś jest to, co sprzyja rozwojowi rasy ludzkiej, tak dalece, że »Moral-und Rassenhygiene« łączą się w jedno (str. 14). Tego uczy w I. części Forel, potrójny doktor: filozofii, medycyny i prawa. Mimo tych tytułów wcale nie oryginalne i nie głębokie to poglądy. Już dawno przed nim z tego rodzaju wywodami wystąpili Spencer i Nietzsche pod wpływem teoryi ewolucyi. Jednakowoż żaden z mistrzów tej teoryi ani też żaden z uczniów tej szkoły nie wytłumaczył światu, dlaczego my mamy zwalczać egoizm. Co mnie obchodzi, czy ludzkość w przyszłości będzie miała więcej czy mniej altruizmu? Na te pytania daje mi wyczerpującą odpowiedź pogląd teistyczny, a zwłaszcza chrześcijański, ale nigdy mnie nie zaspokoją gołosłowne twierdzenia ewolucyonistów. Żaden ewolucyonista nie wytłumaczy należycie obowiązku. Wszyscy też przeczą różnicy istotnej między instynktem zwierząt, zwracającym się do przedmiotów zmysłowych, a sumieniem, wydającem rozkazy także w rzeczach nadzmysłowych, np. gdy chodzi o dobre imię, cześć, obowiązki względem Boga itp.

Na takich zasadach opierając się, omawia Forel sprawy płciowe. Najwyższą zasadą i w tych kwestyach będzie: tak działać, aby sposób postępowania każdej jednostki przyczynił się do rozwoju rasy ludzkiej. A więc trzeba się wprawdzie hamować, by uniknąć przeludnienia, zwłaszcza mają się hamować ci, którzy złe swoje skłonności mogliby dziedzictwem przekazać potomności, jednakowoż według Forela obcowanie płciowe jest moralnie obojętnem, byle społeczeństwo i druga osoba na tem nie cierpiały. Zaleca małżeństwo, ale pozwala na małżeństwa, zawierane na oznaczony przeciąg czasu. W jaki zaś sposób pogodzić to zapatrywanie z potępieniem wolnej miłości przez autora samego? Potępia też prostytucyę, ale zezwala na grzech sodomski, a nawet na obcowanie ze zwierzętami. Ośmiela się też wyrzuty robić ustawodawstwu, że karząc te zbrodnie, opiera się na starych dogmatach! Środki, przeszkadzające zapłodnieniu, poleca dla uniknięcia licznego potomstwa i wtenczas, gdy rodzice są chorzy. Onanii nie uważa za niebezpieczną.

W III. części przytacza autor podziękowania od rozmaitych osób, które pod wpływem książki: »Die sexuelle Frage« odzyskały zdrowie lub spokój sumienia. Łatwo się domyśleć, jakich środków te osoby używały!

Jest to książka bardzo niebezpieczna, która może wywrzeć na młode umysły wpływ zgubny bardzo łatwo, a to z trzech powodów: 1. ma szatę naukową, 2. schlebia namiętnościom, 3. przykładami w III. części może bardzo łatwo w błąd wprowadzić. I tego rodzaju książka ma na okładce wypisane, że wychodzi z druku w dwunastu tysiącach egzemplarzy! Straszne to signum temporis.

Ks. Dr. Szczeklik.

Wiadomości dyecezyalne.

Archidyecezya lwowska ob. łać.

Mianowany administratorem w Sokalu O. Jurkiewicz Cyprian z Zakonu Braci Mniejszych.

Przeniesieni: X. Stanisław Stankiewicz z Glinian do Wyżnian, X. Leon Kwieciński z Płazowa do Przemyślan, X. Józef Bodnarski z Kochawiny do Kamionki strum., X. Stanisław Barnat z Kamionki strum. do Kochawiny.

[1]) Nad tłumaczeniem tem pracowało aż trzech profesorów, a mianowicie Dr. Witwicki Wład., prof. Witwicki Tad., prof. Schreiber Witold; tytuł tłumaczenia: »O zagadnieniach seksualnych«.

Konkurs na probostwo w Tokach (powtórnie) do 15. stycznia, w Gródku i Sokalu do 25. stycznia.

Zmarł X. Lewicki Teodor w Przemyślanach. R. i. p.

Dyecezya przemyska ob. łać.

Odznaczony exp. can. X. Sapecki Wojciech w Radomyślu nad Sanem.

Prezentę na probostwo w Stojańcach otrzymał X. Stanisław Jaworski, wikary w Dulanach.

Mianowani: administratorem w Racławicach X. Stanisław Okoński, wikary tamtejszy; X. Ruciński Stan. adm. w Czyszkach; X. Mermon Tytus poddziekanim liskim.

Przeniesiony do Racławic X. Bronisław Michałowski, wikary w Tarnowcu.

Konkurs na probostwo w Racławicach rozpisano z terminem do 15. lutego 1907; na prob. w Czyszkach do 15. stycznia.

Zmarli: X. Wojciech Żywicki, ekspozyt w Spiach, w 72 roku życia a 44 r. kapłaństwa; X. Serwacki Michał w Drohobyczu. R. i. p.

Urząd paraf. w Szczawnicy posiada oryginalny, piękny plan kościoła 37 m dług. 11 m szer. w stylu romań. nie drogo do odstąpienia.

ORGANISTA grający wybornie z nut, który potrafi prowadzić śpiew na cztery głosy, nadto zorganizować i prowadzić orkiestrę, znajdzie zaraz miejsce przy kościele parafialnym w Kochawinie. Zgłoszenia przyjmuje *ks. Jan Trzopiński*, proboszcz w Kochawinie.

NAJNOWSZE WYDAWNICTWA.

Ks. Spirago: *Katechizm ludowy* w 3 tomach — Egz. brosz. 7 K 50 h, opr. 10 kor. (Znakomite to dzieło przełożone jest obecnie na wszystkie języki europejskie).

Skarb domowy, kalendarz na rok 1907, cena 1 K 20 h.

Kalendarz Maryański na r. 1907, cena 70 h.

Rodzina, tygodnik illustrowany dla ludu, wychodzi od 1. grudnia 1906 i kosztuje na kwartał z przesyłką 2 K 20 h. (Numera okazowe na żądanie bezpłatnie).

Ks. Łukaszkiewicz: *Żywoty Świętych* na cały rok (750 stronic i blisko 300 rycin) — opr. 3 kor.

Uprzejme zamówienia należy przysyłać pod adresem:

KUBACZKA & LANG — księgarnia w Białej.

Na koszta przesyłki należy dołączyć 55 h.



ZAKŁAD
artystycznego malarstwa na szkle
B. SKARDA
w **BERNIE.**
Specyalność:
Okna kościelne (Witraże)
w każdym stylu.
Kosztorysy i porada fachowa bezpłatnie.
Ośm razy odznaczony
pierwszemi nagrodami!

Do nabycia we wszystkich księgarniach:

Ks. Dr W. Kochowski, **O Chrzcie św.** Przepisy prawa kościelnego i świeckiego w Austryi. Cena kor. 1·50.

Tenże, **O Mszach manualnych.** Komentarz do dekretu św. Kongregacyi Sob. z dn. 11. Maja 1904. Cena kor. 0·60.

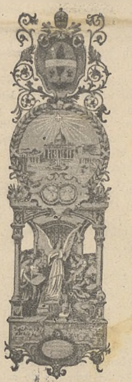
Urząd parafialny w Tarłakowie poszukuje zaraz organisty należycie wykształconego w swoim zawodzie.

Rok założenia 1860 — Rok założenia 1860

Wielokrotnie premiowany.

Franciszek Schmalzl rzeźbiarz i snycerz

w St. Ulrich, Gröden w Tyrolu



poleca

ołtarze, ambony, Boże Groby, korpusy Chrystusa Pana, statuy i t. d.

Od czasu założenia pracowni postawiłem przeszło 300 ołtarzy ku ogólnemu zadowoleniu; na żądanie służę świadectwami.

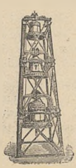
Cenniki przesyłam na życzenie.

Za najlepsze wykonanie wszystkich robót pochodzących z mego zakładu gwarantuję, a nieodpowiadające przyjmuję na własny koszt na powrót.

Uprasza o korespondencyę w języku niemieckim lub łacińskim.

Ryszard Herold ODLEWARNIA DZWONÓW i fabryka wyrobów metalowych

w Komotau w Czechach założona w r. 1790



poleca się do dostawy **nowych dzwonów** każdej wielkości, pojedynczych i w grupach harmonijnie a melodyjnie dobranych w dowolnej intonacyi.

Przelewa stare, pęknięte dzwony wieżowe i zegarowe, — przerabia montowanie dzwonów na lekki system dzwonienia.

Osady dzwonów z kutego żelaza i wszystkie w zakres ten wchodzące roboty. — **Kosztorysy i rysunki na żądanie darmo.** — Najlepsze polecenia, najdokładniejsze wykonanie, dogodne warunki zapłaty.

Własność Towarzystwa Wzajemnej Pomocy Kapłanów.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: **Ks. Dr. Aleksander Pechnik.** Z drukarni katolickiej J. Chęcińskiego, pl. Bernardyński 2.